Nr. 47. Poznań, niedziela 22-go listopada 1896. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“
wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya:
Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Nowy program
„Dziennika Poznańskiego“.

Jeżeli zaletą jest w wielu słowach nie powiedzieć niczego, lub powiedzieć bardzo mało, to artykuł programowy, którym nowa redakcya „Dziennika Poznańskiego“ zarekomendowała się publiczności, zaletę tę w wysokim stopniu posiada. Wprawdzie nazwisko p. dr. Władysława Łebińskiego starczy za program dla tych, którzy lubią zaglądać pod maski anonimów dziennikarskich i badać zakulisowe manipulacye ugodowego stronnictwa, lecz dla szerokiego ogółu nazwisko to, jako wartość polityczna, jest mniej lub więcej zamglone, a znane tylko jako cyfra dosyć poważna w naukowem piśmiennictwie Księstwa. Ztąd naturalnem było zaciekawienie względem artykułu programowego i naturalnem rozczarowanie po ukazaniu się wtorkowego numeru „Dziennika Pozn.“

Karta wizytowa, którą nowy redaktor oddał społeczeństwu, wywiera takie wrażenie, jakoby autor starał się wszystkiemi siłami utopić myśl polityczną w potoku słów najobfitszych. To, co najwięcej pali społeczeństwo, to co kraj cały na dwa podzieliło obozy — kwestya polityki ugodowej, kwestya stosunku kościoła do narodu i kwestya ruchu ludowego, — pozostało w artykule programowym nietknięte zupełnie lub osłonięte tak elastycznym ogólnikiem, że zaledwie gdzieniegdzie w labiryncie słów uchwycić można myśl wyraźniejszą. Klasycznym po prostu, jako wielkie nic w oprawie wielkich słów, jest początek artykułu, gdzie mowa o umiarkowanym liberaliźmie „Dziennika Poznańskiego“, — tem historycznem pojęciu, które śp. Franciszek Dobrowolski ugniatał w tysiączne kształty i raz wlókł na barykady paryskie jako apoteozę komuny, a potem znów nosił do Berlina jako filar tronu, — raz miotał jako bombę na klerykałów i „punkty kościańskie“, to znów przefarbował na apologią supremacyi duchowieństwa w narodzie — raz niem podpierał Garribaldiego, to znów arcybiskupa — na procesyi poznańskiéj. Jednem słowem ten biedny liberalizm służył do wszystkiego, — towar się zmieniał, szyld pozostawał zawsze jeden i ten sam. A oto nowy redaktor z spuścizny po śp. Franciszku Dobrowolskim dobywa starą etykietę i taki pisze komentarz:

„Jak dotąd tak i nadal „Dziennik“ pójdzie torem liberalno-umiarkowanym.

„Liberalnym, wolnomyślnym dla tego, że Polaka wiąże i pociąga do siebie wszystko, co tchnie wolnością i swobodą. Umiarkowanym zaś dla tego, że dzieje nas nauczyły, jak źle jest nie zachowywać miary w wolności i dążnościach, rwących się do bezwzględniejszej swobody.“

Tak się rozstrzyga polityczne zagadki. Gdyby prymaner na lekcyi propedeutyki filozoficznej podobną wygłosił definicyę, to ostatecznie możnaby głową ironicznie pokiwać, lecz zarazem powiedzieć mędrcowi młodemu: „Bene! Na ławie szkólnej więcej wymagać nie można“. Wybaczy nam jednak nowy redaktor, że do programowego artykułu „Dziennika“ inne stawiamy żądania, niż do wypracowań prymanerskich, i innych w praktycznej polityce wymagamy definicyi, niż na lekcyi ogólnych, teoretycznych pojęć z dziedziny filozofii. Takie określenie umiarkowanego liberalizmu, jakie „Dziennik“ do sztandaru swego przypina, niczego nie mówi i do niczego nie obowiązuje. Można w niem wszystko pomieścić i zarówno najskrajniejszy organ reakcyjny, jak pisma prawdziwie postępowe, mogą je śmiało wcielić do programów swoich.

Dalsze ustępy tej wstępnej spowiedzi nowego redaktora zawierają całe legiony zdawkowych frazesów, któremi u nas „ład i porządek“ operuje konsekwentnie ze stołka redakcyjnego i z katedry politycznej. Mamy tedy starą piosnkę, że społeczeństwo nasze pozwalać sobie nie powinno na „zbytek zabaw i igrzysk stronnictw politycznych, na które najczęściej nie ma wcale odpowiednich żywiołów“. Mamy dalej efektowne ogólniki o „sztandarze zgody, który jest sztandarem siły miłości i braterstwa“, — mamy pioruny tradycyjne na „pobudzanie najniższych instynktów ludu“ — no! i mamy to, o czem prawie każde nowe pismo i każdy nowy redaktor zapewnia, tj. piosnkę miłości dla handlu, przemysłu i rolnictwa, słówko o koleżeńskich stosunkach prasy, słówko o czystości stylu i słówko o sumiennych sprawozdawcach z życia zakordonowych Polaków.

Z powodzi tych znanych przysiąg, egzorcyzmów i „szerokich pojęć“ można jednak wyłowić kilka zrozumiałych domyślników, które odsłaniają przynajmniej kawałek przyszłości. Przedewszystkiem charakterystycznym jest ustęp, w którym nowy redaktor zapewnia, że „cokolwiek w piśmie naszem było dobrego, to zatrzymamy i pielęgnować będziemy nadal, a jeśli zmienione okoliczności nasunęły lub nasuną nowsze drogi, wyniknie to z porządku rzeczy, które się toczą kołem w wirze życia, miotanego w przeróżne strony.“ Jest to oczywiście bardzo ogólnikowe i bardzo mgliste orzeczenie, bo ani się nie dowiadujemy, co nowy redaktor uważa za „dobre“ w starym „Dzienniku“, ani jakie nowe przewiduje drogi. Dla nas jednak, którzy nasłuchaliśmy się w ostatnich czasach tak wiele o „nowych horyzontach“ i którym nie jest obcem nabożeństwo dr. Wł. Łebińskiego dla polityki ugodowej, ogólnik ten nabiera indywidualnej formy i wyraźnej barwy. Znamy te „nowe drogi“, któremi „Dziennik“ podąży, i znamy te „zmienione okoliczności“, o których apostołowie ugody śpiewali wczoraj i śpiewają dzisiaj.

Charakterystycznem jest także zdanie następujące, — dziwne zdanie w łamach pisma polskiego:

„Stojąc na kresach zachodnich, musi być „Dziennik“ niejako przewodem cywilizacyi wielkiego świata. Idąc jednakże za popędem serca, musi się zajmować niemniej losem braci zakordonowych, mianowicie też za przykładem prasy niemieckiej, która się opiekuje pobratymcami niemieckimi na całej kuli ziemskiej.“

Klasyczne to słowo: „za przykładem prasy niemieckiej.“ Brzmi w tem jakiś strach niedwuznaczny, aby nas, Broń Boże! nie posądzono o poczucie narodowej jedności, i wygląda to tak, że gdyby nie przykład niemieckiego patryotyzmu, to my Polacy pruskiego zaboru wymazalibyśmy pojęcie braterstwa z programu politycznego.

Oto jest credo nowego redaktora. Mało to, bardzo mało w trzyłamowym artykule, ale niejasność ta i elastyczność wypływa z tendencyi kół kierujących Dziennikiem. W kołach tych wiedzą dobrzą, jak niepopularną z biegiem czasu stała się doktryna hyperlojalizmu wraz z całą teoryą „ładu i porządku“, deptaniem dążeń demokratycznych i koncesyami na rzecz klerykalnych zakusów — i wiedzą również dobrze, jak niepopularnem jest, mianowicie w mieście Poznaniu, nazwisko nowego redaktora, — postanowiono za-

tem przefarbować Dziennik w tempie powolnem, zrazu mówić w ogólnikach, potem w półsłówkach, a dopiero po upływie pewnego czasu zawrócić stanowczo do tej polityki, którą ś. p. Dobrowolski pod koniec życia zaczął opuszczać, a p. Józef Głębocki stanowczo potępił. Akcyonaryusze „Dziennika Poznańskiego“ nie tają zresztą wcale tej opinii w poufnych wynurzeniach. Jest wprawdzie drobna opozycya w kierujących kołach, lecz wobec dominujących wpływów p. Kościelskiego i jego świty nie posiada ona żadnego znaczenia.

Tak tedy „Dziennik Poznański“ staje się drugą edycyą „Kuryera“, a różnica polega jedynie na tem, że mniej będzie mówił o sprawach czysto kościelnych i mniej manifestował charakter półurzędowego organu ks. arcybiskupa. To dzisiaj w samym Poznaniu rozumieją wszyscy, a niezadowolenie rozlewa się już szeroką falą po całem Księstwie i Prusach Zachodnich. Czy niechęć z dnia na dzień rosnąca skrystalizuje się w nowym dzienniku o charakterze demokratycznym, tego dziś jeszcze rozstrzygnąć nie można, — trudno jednak zaprzeczyć, że jest to chwila najodpowiedniejsza, aby powołać do życia wielki organ konkurencyjny i zszeregować koło niego wszystkie trzeźwiejsze żywioły inteligencyi naszej.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Nowy redaktor „Dziennika Poznańskiego“.

Z powodu objęcia redakcyi „Dziennika Pozn.“ przez dr. Wł. Łebińskiego, zapowiada korespondent „Czasu“ krakowskiego zmianę kierunku tego pisma, a o nowym redaktorze tak się wyraża:

„Dr. Łebiński jest u nas osobistością wybitną. Za młodu był zapalonym liberałem. Kulturkampf, rozpatrzenie się w stosunkach i wyrobienie zmieniły jego wyobrażenia. Dziś człowiek wytrawny, przekonań stanowczo konserwatywnych i katolickich, nada niezawodnie „Dziennikowi“ jasny kierunek. Byłaby tylko obawa, czy potrafi mieć konieczną w polemice wyrozumiałość i zachować spokój sądu i miarę wśród nieraz bardzo przykrych walk, które staczać mu przyjdzie. Jeśli gdzie, to u nas dziennikarz powinien mieć w pamięci, że starać się musi zjednać, przekonać, a nie upokarzać przeciwników. Miodem więcej się much złapie, niż octem“.

* * *

Energiczny protest.

W „Gazecie Grudziądzkiej“ czytamy:

„Lekkomyślni ludzie z naszego własnego społeczeństwa przywiązują do zajść opalenickich i do wykrycia wichłactw Bismarcka zbyt wielkie znaczenie. Już dziś bowiem pośpieszają się z twierdzeniem, że rząd pruski zmieni zapewne swoją politykę antypolską i gotowi dla tego wskrzesić trupa polityki ugodowej, gotowi wznowić ową politykę upokorzeń, całowania tej ręki, która nas za domaganie się nieprzedawnionych praw naszych bezustannie biczem smaga. I w naszych Prusach Zachodnich są ludzie, którzy wedle własnego orzeczenia tylko czekają na zmianę stosunków, aby się znowu stać ugodowcami, dla tego więc też za wczasu wołamy: Baczność ludu polski!

My w zmianę polityki rządowej wobec nas, my w możliwość zaniechania dążeń germanizatorskich nie wierzymy, bo wierzyć nie możemy, ponieważ przeszłość dosyć nam smutnych daje przykładów. Z powodu procesu opalenickiego ręka rządowa zadrży może, ale się nigdy nie zatrzyma.

Dzieje słowiańszczyzny północno-zachodniej, którą Niemcy przez kilkanaście wieków okrutnie mordowali, i na której grobach dziś stoi rzesza niemiecka, dzieje ostatnich wieków, w których Prusak zawsze Polskę zdradzał i dzieje ostatniego stulecia, a mianowicie ostatnich lat przekonały nas, że od Niemca nie możemy się niczego dobrego spodziewać, a od Prusaka, który jest najgorszym wśród Niemców, jeszcze mniej.

Nic też tu żadna polityka ugodowa nie poradzi, chyba żeby ją można poprzeć milionem bagnetów, a ponieważ to jest niemożliwem, więc my polityki ugodowej nie chcemy i nie ścierpimy.

Gdyby zresztą nie owa fatalna polityka ugodowa, gdyby nie płynąca z niej demoralizacya polityczna, byłoby poczucie narodowe w Prusach Zachodnich już o wiele więcej rozbudzone. Lecz wobec usiłowań budzenia ludu przez zakładanie Tow. ludowych itd. wołali pp. ugodowcy: „Nie drażnić! nie drażnić!“ i zamiast budzić, starali się wszelkiemi siłami usypiać lud.

A lud polski spać nie chce, lud polski w Prusach Zachodnich dąży do świadomości narodowej i do dojrzałości politycznej, więc też o polityce ugodowej ani słuchać nie chce. To też pp. ugodowcom zwracamy na to uwagę, że u nas w Prusach Zachodnich nie ma miejsca dla ich polityki. Lud polski u nas teraz bardziej świadomy swej siły niż przed kilku laty, i piorunem zwali z świeczników, na których stoją, tych, którzy mu wbrew jego woli politykę ugodową narzucać będą. Lud polski nie będzie łaski żebrał tam, gdzie ma prawo żądać wymiara sprawiedliwości! A póki mu tej sprawiedliwości nie wymierzą, spokojnie będzie pracował nad podniesieniem swego poziomu oświaty, nad obudzeniem do życia narodowego reszty śpiących jeszcze braci i z głębi serca modlić się będzie do Boga o przywrócenie narodowi naszemu wolności i swobody.

Ale polityki ugodowej znać niechce i nie będzie“.

* * *

Nadużycia polityczne w Galicyi.

Koresponden krakowski warszawskiej „Prawdy“ donosi:

MAKS NORDAN.

Jak one potrafią kochać!..

Było to dnia 1 listopada 1878 r. Międzynarodowa wystawa paryzka została już zamkniętą i Rudolf Weltli zamierzał powracać do Szwajcaryi. Spędził pod pięknem niebem Francyi przeszło dwa tygodnie: studya na polu Marsowem, jako inżynierowi, mogły dostarczyć niemało korzyści — wystawę jednak wziął tylko jako pozór do odwiedzenia stolicy nadsekwańskiej, w rzeczywistości bowiem czas spędził tylko na błądzeniu po ulicach, na wycieczkach w okolice podmiejskie, na zwiedzaniu muzeów, wszystkich miejsc znanych mu dobrze z przed dwudziestu siedmiu laty, gdy był jeszcze studentem, a które zmuszony był porzucić, unosząc roje wspomnień.

Ćwierć wieku! Prawie całe życie! Przez tak długi czas nie widział Paryża, pomimo, że opuszczając go, zamierzał niedługo powrócić. Ale jak to zwykle bywa, okoliczności stanęły zamiarom na przeszkodzie. Obowiązki zatrzymały go zdala od Francyi i tylko wyobraźnia jego mogła błądzić po horyzoncie tak pełnym uroku, a tak oddalonym.

Każdy, kto po raz pierwszy przybywa do Rzymu, wrzuca monetę do Fontana Fredi, na intencyę, aby losy dozwoliły mu raz jeszcze odwiedzić wieczne miasto. W Paryżu nie trzeba wykonywać podobnych praktyk zabobonnych. Jego czar tajemniczy silnie odziaływa, uwodzi i przyciąga nieobecnego, a powrót tylko może uśmierzyć wzburzone żądze. Ale czy mocą podobną Paryż tylko rozporządza? Nie! Każdy najmniejszy nawet zakątek, w którym śniliśmy, kochaliśmy, cierpieliśmy. Dla każdego podobne miejsce jest drogiem, jak dla rolnika pole zasiane jego ręką.

Pragniemy przekonać się, czy nie znajdziemy śladów naszego tam pobytu i szczęśliwi jesteśmy, gdy widzimy, że wszędzie, gdziekolwiek zasialiśmy naszą młodość, pozostawiliśmy to wszystko, co było w nas najlepszego — wzrósł obfity plon wspomnień, niewidzialny dla innych, a nam tak drogi, tak nieocenienie drogi.

Co rok, Rudolf układał plan wycieczki do Paryża i zawsze był zmuszony odłożyć ją do roku następnego. Z biegiem czasu przyzwyczaił się do myśli, że może nigdy nie ujrzy już ukochanych miejsc, ale wystawa międzynarodowa w r. 1877 była doskonałym pozorem, uchwycił go z całych sił.

Wakacyjne tygodnie minęły jak sen i należało powracać do codziennej systematycznej pracy. Dzień Wszystkich Świętych był ostatnim, jaki miał spędzić w Paryżu. Poświęcił go za przykładem wszystkich paryżan, na wędrówkę po cmentarzach. Parę godzin przepędził na cmentarzu Père Lachaise, gdzie obok pomników znanych mu dobrze z czasów studenckich, ujrzał wiele nowo wzniesionych, jak: Musseta, Rossiniego, Micheleta, Regnaulta, hr. d'Agoult i innych znakomitych ludzi. Potem wyruszył na cmentarz Montmartre z zamiarem złożenia wieńca na grobie Heinego.

Błądził po alejach; obok skromnych krzyży, tablic żelaznych, piętrzyły się wspaniałe pomniki z szumnie brzmiącemi nazwiskami, mającemi przywilej przyciągania uwagi przechodnia, świadczącemi o pozagrobowej próżności tych, którzy oddawna roz-padli się w popiół.

Groby jako w święto zmarłych, strojne były w przeróżne ozdoby. Różnobarwne kwiaty poustawiano na płytach, na krzyżach pozawieszano wieńce z nieśmiertelników, nie brakowało też papierowych, pozbawionych gustu i powagi. Widocznem było, że groby te pielęgnuje ręka, kochająca dotąd istoty blizkie sercu, spoczywające w śnie wiecznym, że są one złączone nierozerwalnym węzłem z istotami żyjącemi, oddychającemi ciepłem słońca... ale były też groby zaniedbane, gniły na nich liście, narzucone przez wiatr i opuszczone, jak ci, którzy nie pozostawili po sobie wspomnień, którzy spoczęli zapomniani przez wszystkich. Jakże łatwo można być zapomnianym w Paryżu! Jakże ten ocean zwany stolicą pochłania nietylko człowieka, ale jego rodzinę, przyjaciół, znajomych — nareszcie pamięć o nim! Myśl ta wstrząsnęła Rudolfem, poczuł dreszcz

„Co do Lewakowskiego, można mu zrobić wiele zarzutów jako politykowi, to wszakże nie ulega wątpliwości, że miewa on w życiu swojem parlamentarnem szczęśliwe chwile i odwagę. Mowa jego i nagły wniosek przeciw nadużyciom urzędników galicyjskich miały ten charakter. Wniosek o mało nie przeszedł. Dowodziłoby to niezwykłego nastroju w parlamencie. Czesi i Niemcy skorzystali, ażeby rzucić jeszcze raz, znany dobrze i w Warszawie, frazes, że brudną bieliznę należy prać w ukryciu. Frazes dobry, ale źle zastosowany. Nie o Galicyę im chodziło, lecz o rządy Badeniego, niesympatyczne dla Niemców; skorzystano więc ze sposobności, ażeby powiedzieć: patrzcie, co się dzieje w Galicyi! Zapomniano jednak o rzeczy najważniejszej: nadużycie popełnili urzędnicy austryaccy. Z tego też punktu mowa Lewakowskiego miała zupełną słuszność. Jeżeli kraj posiada pewne prawa, a łamią je urzędnicy przez źle zrozumianą pilność, lub poprostu przez chęć przypodobania się, jak to miało miejsce w Przemyślu, gdzie jakiś marny „praktykant konceptowy“ pragnie zbyt gorąco podwyższenia pensyi — to narodowość tych urzędników jest rzeczą obojętną. Papuasi, resztki czesko-niemieckich „precliczków“, czy też „prawdziwi Polacy“ jednako mogą być na stanowisku urzędników galicyjskich szkodliwi. Mowa Lewakowskiego miała na celu nie narodowość, lecz wstrętny i płytki biurokratyzm niemiecki, który przywdziawszy od parady polskie szaty, bruździ i drażni społeczeństwo, jak za dawnych czasów. Z takim rakiem państwowym, toczącym Austryę, krępującym jej życie, powstrzymującym jej politykę, walczyć trzeba i należy. Kwestyę nadużyć urzędniczych w Galicyi trzeba stawić nie na gruncie wyjątkowości, lecz fałszywej zasady politycznej, z którą trzeba brać się za bary. Szkoda tylko, że walczą z nią zbyt troskliwie“.

— *ski.*

Partye i pisma polityczne *w Czechach.*

(Ciąg dalszy).

Realiści z tygodnikiem swoim „Čas“ (VII rok istnienia, pod redakcyą D. Jana Herbena) i miesięcznikiem „Naše Doba“ (III rok istnienia, redaguje prof. Massaryk) dotychczas nie usiłowali stworzyć partyi, jakkolwiek wśród inteligencyi mają bardzo wielu zwolenników, i gdyby publicznie jako partya wystąpili, niezawodnie pozyskaliby jeszcze więcej. Nie pomyśleli oni o założeniu partyi, chociaż większość narodu bezwątpienia najprzystępniejszą jest dla polityki realistycznej — przynajmniej obecnie i w najbliższej przyszłości. Zamiast ukonstytuować samoistną partyę, zadowalniają się realiści tem, że młodoczechizm, jakoteż i inne młodsze prądy (nie wyłączając nawet socyalnej demokracyi) usiłują swoimi ideałami zapłodnić i nadać wystąpieniom tychże stempel realistyczny. I w rzeczywistości wpływ ich jest wielki. I chociaż nie powiodło się im zreformować Młodoczechów, to jednak wstrzymał realizm z jednej strony przypływ młodzieży do Młodoczechów, z drugiej zaś strony na młodsze prądy, zwłaszcza postępowców silnie wpłynął. Odnośnie do Młodoczechów pisał „Čas“ pod d. 22 lutego br.: „Partya młodoczeska względem haseł ludowych i społecznych, które głosiła w r. 1891, zachowała się z biegiem r. 1895 a bardziej jeszcze na sejmie w r. 1896 tak niecnie, że dla nas zachowanie się jej dalsze jest całkiem obojętne“. Pod wpływem realistów — a poprzednio naturalnie Młodoczechów — wzrośli postępowcy, którzy obecnie zostają częścią pod wpływem realizmu, częścią socyalnych-demokratów, a prócz tego wskutek ciągłej postępowej pracy nad sobą rozpadli się na: radykalnych Młodoczechów z organem „Radikalni Listi“ (tygodnik redagowany przez Ant. Hajna), następnie na wyznających idee czasopisma „Rozhledi“ (V rok istnienia, redaktor Józef Pelcl) i na postępowych socyalistów z organem „Pokrokowe Listy“ (dwutygodnik redagowany przez Skalaka).

W postępowcach, którzy redagują swój organ „Radik. Listy“, tkwi jeszcze trochę romantyki; główną wagę kładą na politykę i pod względem politycznym są ultra-radykalnymi; pod względem narodowym bezwarunkowymi wyznawcami prawa państwowego a przy tem wszystkiem skłonni do porozumienia i zgody między Czechami a Niemcami, ludu z ludem; pod względem ekonomicznym są za daleko idącemi reformami, stoją blisko socyalnych-demokratów, nie mają jednak żadnego jasno wyrobionego programu. Do Młodoczechów nie odnoszą się wprawdzie „Radik. Listy“ przyjaźnie, ale usiłują młodoczechizm zapłodnić postępowemi ideami i w ten sposób zmienić partyę młodoczeską w radykalnie postępową. Przykład realistów, którzy przed 6 laty całkiem bez korzyści poświęcili swe siły, aby owe reformy w stronnictwie młodoczeskiem przeprowadzić, powinien ich od tego powstrzymać. Uchwała, jaką powzięli zeszłego roku w grudniu małą większością głosów mężowie zaufania (33 przeciw 30), aby stanowić postępowe skrzydło partyi młodoczeskiej z własną swoją organizacyą, powitaną została przez „Rozhledy“ i postępowych socyalistów jako błąd stanowczy i była jako połowiczność zwalczaną; „Rozhledy“ stanowczo zaprotestowały przeciw temu, aby postępowcy tworzyli jakieś zorganizowane lewe skrzydło Młodoczechów. Organ młodzieży, dwutygodnik, „Časopis pokrokového studentstva“ również zajął opozycyjne przeciw tej uchwale stanowisko, tak jak wogóle cała młodzież postępowa nieprzychylnie odnosi się do oficyalnych partyi postępowych i „Radik. Listów“. Naturalnie, że redakcya „Radikalnich listów“ nie jest niezawisłą, pismo to bowiem wydaje stowarzyszenie, w którem młodoczescy radykali stanowią większość.

Stanowcze wyparcie się Młodoczechów i ich credu zawierają „Rozhledy“, które pisały co następuje: „Już od samego początku młodoczeskiej ery życie nasze polityczne zawierało wiele niezdrowego, które tkwiło w samym charakterze i w samej treści młodoczechizmu... Młodoczechizm nie potrafił tak prędko wyjść z negacyi i na podstawie stałego pozytywnego programu rozwinąć pozytywną działalność. Wiedzieli

---

przebiegający po skórze. Być obcym w Paryżu i umrzeć obcym!

Idąc bez celu za pociągającym go tłumem, wraz ze wszystkimi zatrzymał się przed grobem, otoczonym przez wielką ilość modlących się. Panował tu nastrój uroczysty, pełny majestatycznej powagi, jakiej często nie widzi się nawet w kościele. Rudolf, wiedziony ciekawością, zwolna przecisnął się wśród tłumu i znalazł się koło grobu Baudina, republikanina, reprezentanta narodu, zamordowanego przez pijanych żołnierzy d. 3 gr. 1850 r. na ulicach Paryża w chwili, gdy uświęcony trójkolorowym sztandarem, znakiem Zebrania narodowego, wielkim głosem protestował z wysokości barykady przeciw Bonapartemu. Do głębi wzruszający szczegół towarzyszył śmierci tego bohatera. W chwili, gdy otoczony wiernymi przyjaciółmi, dzielącymi jego idee wchodził na barykadę, kilku rzemieślników zawołało:

„Precz z dwudziestoma pięcioma frankami!“

Było to przezwisko nadawane przez pospólstwo deputowanym, pobierającym dziennie 25 franków.

Baudin odpowiedział spokojnie:

— Zobaczycie, jak się umiera za 25 franków!

Po upływie paru minut poległ, przeszyty kulami żołdaków.

Rudolf, patrząc na pomnik, doznał uczucia, przepełniającego serce każdego z obecnych. Na piedestale kamiennym spoczywa Baudin w bronzie wykuty, okryty płaszczem. Lewa ręka zwisła, jak gdyby omdlała, prawa ściska nerwowo symboliczną tablicę praw podeptanych zdradziecko. Głowa nie ma w sobie nic charakterystycznego, ale jakże wiele mówi otwór w czole, z którego kiedyś krew płynęła — jak bohaterskie, wspaniałe na głowie tej kładzie piętno! Zdaje się, że przez otwór ten blask nadnaturalny wybiega i wyciska łzy z ócz każdego, kto nań spoglądał.

Widok ten wywołał w Rudolfie wzruszenie, być może, goretsze, niż we wszystkich, którzy grób otaczali. Wspomniał, że niewiele brakowało, a byłby go spotkał ten sam los.

Idąc w kierunku bramy cmentarnej, widział oczyma duszy tę noc straszną z dnia 3 na 4 grudnia, czuł, że tarza się w kałuży krwi na ulicy Montmartre, że w jego prawej nodze tkwi kula. Wspomnienie to tak wielką w sobie posiadało siłę, że oniemal uczuł dawny ból; kulał mimowolnie, jak przed laty, gdy wstał z łóżka, do którego tak długo był przykuty.

W szerokiej alei, prowadzącej do głównej bramy, ujrzał cały szereg pomników, poświęconych pamięci współwyznawców idei Baudina. Naprzeciw grobu Godefroy Cavaignaca znajdowała się mogiła, ukrywająca rzucone w nieładzie ofiary walk ulicznych, o których zwłoki nikt się nie upominał. Mogiła ta wielka rozmiarami, grozą potężna, tonęła w kwiatach.

Rudolf stanął przed krzyżem, rozpościerającym nad grobem swe ramiona. Zdało mu się, że stoi w kole zaklętem, oddzielającem go od świata i ludzi. Powietrze tu było jakieś mroźne, przenikające, wstrząsające całą istotą. Zdało mu się, że czuje pod stopami drżenie, jakiś ruch tajemniczy; zdało mu się, że ramiona szkieletów wstrząsają podwojami, pokrywającemi ich, ciasne, wieczne siedlisko.

— Byłbym tam, z nimi — gdyby mnie wtedy kula ugodziła śmiertelnie.

Ciężko odetchnął i odwrócił się.

Wielka liczba kobiet, pogrążonych w cichej modlitwie, otaczała grób poległych.

— Po dwudziestu pięciu latach pamiętają o spoczywających zmarłych. Gdybym ja tu był pogrzebany, nikt nie przyszedłby się modlić!..

Z politowaniem spojrzał na klęczącą opodal kobietę.

Była żałobnie ubrana, twarz jej zakrywał długi, czarny welon. Czując spojrzenie Rudolfa, mimowolnie podniosła głowę. Spojrzenia ich spotkały się. Cofnęła się, tłumiąc okrzyk. Wyciągnęła ku niemu ramiona i mając przymknięte powieki, szepnęła:

— Rudolf! Rudolf!

On uniósł ją, przyciągnął do serca i ledwie dosłyszalnym głosem zawołał:

— Paulina! Czy to możliwe? Paulina!

Drżąc ze wzruszenia, zarzuciwszy ręce na jego ramiona, spoglądała wielkiemi oczyma.

o tem wszyscy, lecz mówili sobie: „Z biegiem czasu przyjdzie do tego“ — a tymczasem wcale nie przyszło. Prądy i dążności wyszły wkrótce po za ramy młodoczechizmu, co więcej stawały przeciw niemu, o ile bardziej i bardziej wytwarzała się zeń „narodowa“ partya burżuazyjna, przesiąknięta aż do szpiku kosci zasadami zamierającego liberalizmu i wymizerowanego demokratyzmu mieszczańskiego... Wcześnie nabraliśmy przekonania, że koniec młodoczeskiej opozycyi nie będzie innym jak Staroczechów, wiedzieliśmy od dawna, że stratą czasu i energii byłoby reformowanie tej partyi i dlatego postanowiliśmy iść własną drogą, w duchu naszego programu i własnemi odpowiedniemi środkami. Że w obozie postępowym zdanie o Młodoczechach nie było do dziś wyrobionem, nic nie szkodzi, tuszymy jednak, że z biegiem czasu i z rozwojem spraw, ustąpi optymizm u tych postępowców, którzy jeszcze ciągle łudzą się nadziejami, że partyę młodoczeską da się przerobić na kierunek ludowy, który jest zasadniczym i charakterystycznym objawem, a który nas dzieli od narodowej, wolnomyślnej partyi. Abstrakcyjne pojęcie „narodu“ i „narodowości“ chcieliśmy ucieleśnić — tymczasem zobaczyliśmy obok małej garstki ludzi posiadających i rządzących, szerokie warstwy uciemiężonego, wyzyskiwanego, praw należnych pozbawionego, w ciemnocie trzymanego ludu. I stanął nam konkretny obraz „narodu“ przed oczyma i staliśmy się „ludowcami“, którzy sobie za cel postawili: pracować, aby uciemiężony a nieświadomy lud wyprowadzić z niewoli, aby przywileje wszelkie ustały, aby wyzysk zniknął, aby między wolnymi i równymi sobie ludźmi zapanowało prawdziwe braterstwo“.

(Dokończenie nastąpi.)

LITERATURA I SZTUKA.

Pisma A. Świętochowskiego.

(Tom I.)

(Dokończenie.)

Możnaby jeszcze bardzo długo mówić o przymiotach odznaczających formalną stronę twórczości Świętochowskiego, ale boję się, czy i tak już nie przekroczyłem granicy cierpliwości czytelników, pisząc uwagi, jakie mi się nastręczyły przy odczytywaniu pierwszego tomu „Pism“ tego autora, wydawanych obecnie w Krakowie i Warszawie.

Czas już przejść do treści.

Trzy pierwsze obrazki, pomieszczone w 1-ym tomie „Pism“, wyszły przed 16 laty w osobnym zbiorku p. t. „O życie“. Stanowią one rodzaj trylogii, której zasadniczym motywem jest walka o byt. „Damian Capenko“, „Chawa Rubin“, „Karol Krug“, to jednostki dobre, choć oczywiście bynajmniej nie doskonałe, zabiegające gorliwie o szczęście — w bardzo skromnych rozmiarach — swoje własne lub swojej rodziny, wytrwałe w pracy, uzbrojone w cierpliwość, znoszące przytyki, naigrawania bez namiętnych targań się, a ginące wskutek przeciwdziałania obcego, kierowanego uprzedzeniem, niechęcią, zawiścią, wzgardą. Autor umie otoczyć postacie te promieniami sympatyi, lubo nie myśli wcale taić ich słabości, śmiesznostek i rozmaitego rodzaju przywar etycznych lub obyczajowych. Dokonywa tego w sposób bardzo prosty, o którym jednak często zapominają powieściopisarze; oto odsłania w nich najgłębsze warstwy uczuć prawdziwie ludzkich, mających zawsze własność budzenia w nas objawów serdecznego nastroju. Im uczucia te są żywsze i im mniej posiadają w sobie pierwiastku samolubnego, tem silniej działają na duszę naszą, bo chociaż sami w postępowaniu swojem kierujemy się pobudkami egoistycznemi, lgniemy mimowoli do tych, co z miłości dla innych, o sobie zapominają. Dlatego to na mnie przynajmniej robi największe wrażenie Chawa Rubin, najmniejsze Damian, a pośrednie Karol Krug.

Po tej trylogii znajdujemy w zbiorze „Klemensa Borutę“, obraz nędzy na Szląsku pruskim wywołany opisami roku głodowego, jaki przed laty zwrócił uwagę całego kraju na tę cząstkę ludu polskiego, co od wieków pod uciskiem niemieckim pozostaje. Akcya ratunkowa wtedy podjęta, rzuciła jaśniejszy promyczek w mrok niedoli — ona też i w powiastce o nieszczęśliwym Borucie, który przeszedł piekło cierpień, wytwarza w zakończeniu utworu nastrój pogodniejszy. Sieroctwo, bieda, ciężka praca, wzgarda niezasłużona, los prześladowczy, wsączyły w serce Klemensa dużo jadu i prowadziły do szukania chwili zapomnienia na dnie butelki: nie zgnębiły go jednak, ręka pomocna, wyciągnięta z oddali, silnem przejęła go wzruszeniem i schyłek życia osłodziła.

Jak „Klemens Boruta“ jest obrazem nędzy materyalnej, tak „Oddechy“ przedstawiają nam nędzę moralną.

Rzecz dzieje się w Poznaniu. Wawruś Tryncza z natury był bojaźliwym, ale od czasu, gdy wraz z ojcem uciekać musiał i kryć się, dostał tak gwałtownych dreszczów strachu, że już odtąd ciągle nim trzęsły. Skończył gimnazyum, został kancelistą w magistracie, podczas wojny francusko-pruskiej przez spojenie chłopa francuskiego i wybadanie go oddał przysługę zwierzchności, dostał order i przytem z Tryneczy przerobiono go na Lorenza Trinkbiera. Przeciwko zamianie nazwiska nie protestował.

Zostawszy asesorem, słuchał we wszystkiem naczelnika wydziału, tak, że gdy ten mu oznajmił, iż kanclerz państwa życzy sobie, ażeby wszyscy urzędnicy byli „narodowo-liberałami“, zgodził się na to najchętniej i przy najbliższych wyborach, nie tylko sam głosował za kandydatem „narodowo-liberalnym“, ale nadto zjednał mu jeszcze kilkunastu wyborców W nagrodę otrzymał podwyższenie pensyi o 10 talarów miesięcznie.

Wtedy ożenił się z niemką i w ciągu lat czterech doczekał się czterech synów i choroby żony. Pomimo zasług położonych, nie czuł się Trinkbier silnym na swojem sta-

---

— Ty, Rudolfie! Ty... ty żyjesz!

— A więc sądziłaś, że umarłem? — rzekł niepewnym głosem.

— Myślałam, że spoczywasz ot tu — odrzekła, wskazując grób poległych.

— I przyszłaś dziś...

— Dla ciebie, Rudolfie; dziś jak co rok, od dwudziestu siedmiu lat. Patrz, Rudolfie, ten oto wieniec dla ciebie przyniosłam. Gdy cię ujrzałam — szepnęła po chwili milczenia — sądziłam, że powstałeś z mogiły, aby mnie raz jeszcze zobaczyć.

Milczała jeszcze przez chwilę, a potem rzekła, spoglądając nań nieśmiało, ale z nieopisaną czułością.

— A wiesz, co upewniło mnie, że nie widmo stoi przedemną? Umarli nie zmieniają się, a ty, Rudolfie, bardzo się zmieniłeś.

— Ach! Uważasz, że jestem zmieniony?

Długo patrzała na niego. Spojrzenie jej błądziło po całej postaci, długo spoczywało na twarzy; potem rzekła, jak gdyby do siebie:

— Nie... nie bardzo... Nie tak bardzo, Rudolfie.

Zapewne tylko ona mogła tak mówić, ona tylko mogła w jego twarzy odnaleźć rysy młodzieńca, liczącego dwadzieścia trzy lata, jak oko wprawne przy pomocy powiększającego szkła odczytuje pismo zamazane, prawie niewidoczne. Dla niej głowa o włosach krótkich, rzadkich, siwawych, pokryta była, jak niegdyś, bujną, czarną czupryną; wąsy długie, ostre, sprawiały wrażenie jedwabiu, ułożonego delikatną ręką; żółta cera nic nie straciła z dawnego blasku i świeżości; cała postać w rzeczywistości zgrzybiała, zachowała dawne kształty — była wysmukłą, pełną młodzieńczości; w stojącym przed nią człowieku pięćdziesięcioletnim widziała obraz z fanatyzmem przechowywany w pamięci, może nawet piękniejszy od oryginału.

I jego opanowało podobne złudzenie. Nie widział zmarszczek na powiekach i twarzy; oczy osłonięte smutkiem lśniły pełne blasku młodości i radosnych upojeń; zgrubiałe kontury twarzy, szyi, piersi przybrały dawne powabne kształty, tak bardzo przez niego kochane; w kobiecie zwiędłej uwielbiał młode dziewczę, promieniejące urokiem dziewiętnastu lat, porzucone przez niego przed ćwierć-wiekiem.

Patrząc nań, opanowała wzruszenie, głos odzyskał spokój, drżał jednak zlekka, gdy go zapytała:

— Ale, na miłość Boską opowiedz mi, jak się to wszystko stało? Odźwierny nasz widział, jak padłeś na ulicy, jak cię potem uprowadzono.

— Nie mylił się.

— A więc raniono cię...

— Tak... byłem ciężko ranny!

— Ah! a potem...

— Pamiętasz nasze rozstanie... Przestałem panować nad sobą... uciekłem jak szalony... bez kapelusza. Kiedy wybiegłem z pasażu Saumon, kierując swe kroki na Montmartre, ulica była zupełnie pusta. W oddali słychać było odgłos bębnów. Od strony bulwarów zbliżali się żołnierze. Minęło mnie kilkunastu ludzi, szukających schronienia. Pierwej nim mogłem zdać sobie sprawę z tego, co się działo, usłyszałem huk wystrzałów, uczułem ból i upadłem. Koło mnie padł ktoś inny i już się nie poruszył. W pasażu Saumont otworzono okno, lecz zamknięto je natychmiast. Oddział szybko się zbliżał. Żołnierze byli zaopatrzeni w latarnie i pochodnie. Najpierw zbliżyli się do mojego sąsiada. Zbliżyli latarnie do jego twarzy i po chwili wśród wściekłych wrzasków zatopili w jego pierś bagnety. Następnie podeszli do mnie; widziałem połysk bagnetów, czułem ich chłód, instynktownie wyciągnąłem ręce, chcąc się bronić. Oficer zawołał: „Stać!“, poczem zapytał, kto jestem. Odrzekłem z całą przytomnością, na jaką mogłem się zdobyć w obec śmiertelnego przerażenia, że jestem Szwajcarem, uczniem Szkoły głównej, że mieszkam w pasażu Saumont, że wyszedłszy na miasto zostałem przypadkowo raniony. Oficer obejrzał moje ręce; nie dostrzegł na nich śladów prochu. Zrewidowano mnie i nie znaleziono broni.

(Dokończenie nastąpi.)

nowisku, bo mu przypominano jego pochodzenie. Dla lepszego zasymilowania się przyjął wyznanie ewangielickie. „W miejscowej gazecie niemieckiej zapisano ten wypadek z odpowiednią pochwałą i morałem politycznym".

Nastał czas t. zw. „rugów pruskich". Spodziewał się Trinkbier nowego awansu; zaczęto nawet mówić o tem; prezydent miasta powinszował mu go, chociaż zauważył, że nominacya jeszcze nie nadeszła, przyczem zaczął dopytywać o szczegóły, dotyczące miejsca urodzenia, czasu przybycia do Prus i t. d.

Nie pomogło mu wcale, gdy z narażeniem własnej osoby zadał kłamstwo mówcy demokratycznemu, występując w obronie partyi rządowej; zamiast nominacyi, otrzymał rozkaz opuszczenia Prus w ciągu dni ośmiu — choć pięcioro dzieci miało dyfteryt, a i żona leżała chora.

Zapóźno spostrzegł bojaźliwy Trinkbier, że jego układność i płaszczenie się Niemcom nie przyniosły mu korzyści nawet pod względem materyalnym.

„Na pogrzebie" mniejsze posiada znaczenie niż „Oddechy". Autor zestawia dwa pogrzeby: krowy i bażanta, karmicielki rodziny chłopskiej z jednej, a fantazyi zrujnowanego szlachcica z drugiej strony.

Krowę opłakiwały rzewnemi łzami dzieci i ich ojciec, mało zważając na dogorywającą matkę i żonę, gdyż razem z krową znikała ostatnia nadzieja otrzymania pożywienia: głód jako niszczyciel istnień fizycznych przytłumiał wrodzoną uczuciowość bardziej duchowego charakteru, tak, że z pozoru sądząc, możnaby tych, co krowę opłakiwali, o brak serca obwiniać.

Zadłużony szlachcic, w majątku, w którym niepodzielnie rozgospodarował się już Aron, do ostatniej chwili nadrabia fantazyą, łudzi innych, a może w końcu i siebie roztaczaniem projektów podniesienia stanu majątkowego za pośrednictwem hodowli bażantów, choć ma tylko jedną jedyną samicę, kupioną za 15 rubli, i w chwili gdy miał zamiar dostać samca, ów jedyny okaz rodu bażanciego na pustym folwarku ginie przy jedzeniu. I wtedy jeszcze szlachcic umie wyzyskać położenie, pocieszając się wyniosłym frazesem: „Ot, bądź bażantem wśród podłego drobiu, zadławią cię prostą kluską"

Chłop przyjął w pokorze ofiarowany datek i kupił sobie nową krowę; szlachcic, choć ciaż nic mógł zapewnić wygodnego noclegu, zaprasza przecież do siebie gości i odgrywa przed nimi komedyę dostatku... w przyszłości.

Ostatni obrazek w pierwszym tomie stanowią „Woły". Jest on okrzykiem przeciw okrutnemu hasłu: biada zwyciężonym! „Chłopiec źle zrobił, postraszywszy pasące się byczki; woźnica oberwał po karku za uderzenie wołów ciągnących wóz, ale te płowe mięsa — na rzeź przeznaczone — wolno ćwiczyć dla rozrywki". Tak się, niestety, dzieje w świecie, który całem współczuciem swojem darzy tylko powodzenie.

Świętochowski we wszystkich obrazkach pomieszczonych w tym tomie malował prawie wyłącznie warstwy niższe, a co najwyżej średnie pod względem inteligencyi; musiał więc naginać swój wytworny sposób wysławiania do poziomu umysłów, jakie wystawiał. Jakkolwiek w tym kierunku twórczość jego nie zdołała być dosyć giętką, bo odbijała głównie zewnętrzne strony gwary językowej, to przecież można wszystkie rozmowy lub wywnętrzania się nazwać artystycznie udatnemi, a niekiedy doskonałemi. Zupełną atoli swobodę swego świetnego stylu rozwija autor tam, gdzie mówi wprost od siebie.

Wydanie „Pism" bardzo harmonijnie odpowiada ich zawartości, jest ładne swoją wytworną prostotą i czystością.

P. Chmielowski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Państwo żydowskie

(Dokończenie).

Asymilacya mogłaby wtedy tylko się dokonać, gdyby żydów nie prześladowano. W czasach największego ucisku najgłośniej odzywa się w nich samowiedza narodowa. Kiedy im się dobrze dzieje, asymilują się z łatwością. To jest prawo natury. Antysemityzm nie zniknie, bo nie znikną przyczyny, które go wywołały. Wobec tego nie ustanie także nigdy reakcya ze strony żydów, która osłabia w nich chęć do asymilacyi a utwierdza w separatyzmie; ten znowu zwiększa zawiść chrześcian. I oto jest c i r c u l u s v i t i o s u s, z którego niema wyjścia. Wszelkie wywody i argumenty nic żydom nie pomogą, nienawidzą ich, bo ich nienawidzą. Ich siła ekonomiczna zamiast pomagać, w ostatecznym rezultacie szkodzi mi jeszcze. Nie można ich zniszczyć ekonomicznie, bo potęga ich opiera się na kapitale ruchomym, tego zaś dosięgnąć nie można. Możnaby wprawdzie nałożyć nań progresyjny podatek dochodowy, ale krok ten wymierzonyby być musiał także przeciwko kapitalistom chrześciańskim, a zresztą wszelkie ograniczenia żydów pod względem ekonomicznym spowodowałyby niechybnie niesłychane kataklizmy w życiu gospodarczem, których skutki równie dotkliwie dałyby się uczuć społeczeństwom chrześciańskim. Ta właśnie bezsilność wobec żydów, ta niemożność zwalczania ich pod względem ekonomicznym, potęguje zawiść ku nim. Dobrobyt żydów drażni przeciwników, zapominają oni, że jestto walny środek zaniku indywidualności żydowskiej. W obecnym ustroju społeczeństwa panuje zasada „siły przed pra-

Ze starych szpargałów.

List Imć Pana Marka z Pęcławic Zadry do swej żony Barbary.

Laudetur J. H.

Wielce mnie miłościwa Jejmość Dobrodziko y sercem ukochana małżonko moja!

Z wielkiey Imć Pana Jana Kantego Krzywdzica ochoty y grzeczności korzystając ślę to pismo, by Jejmości yaknayspieszniej zwiastować iżem zdrów i cały do Sandomirza dojechał y razem o łaskawy responsu poprosić, który to możesz Jejmość Dobrodzika śmiało przez Pana Krzywdzicowego podstarościego, retro do Sandomirza się odprawującego po dwa podjezdki y skarbniczek, przesłać.

Siedzę tu już tydzień u yednego zacnego mieszczanina, kwaterą stanąwszy samowtór z moim Mateuszem y liberyę, żali by już nie czas do domu wracać. Mateusz cale mi się nie udał, ile że często za niego obrok koniom zasypywać muszę, a on jeno czeka okazyey by pod wiechę uciec y tam się spiwszy burdy z pachołkami y służbą starościńską czynić.

Byłem już u W. W. O. O. Dominikanów y z W. O. Przeorem względem naszego Jacusia rozmowiałem się generalnie na skutek czego kazał mi go na September należycie opatrzonego do konwiktu dostawić.

Mąkę, jabłka, śliwki suszone te z kminem na patyczkach, jagły y dwa klimki W. O. Przeorowi z pokorną prożbą o przyjęcie ofiarowałem, z czego, jakem to zakonotował, był rad bardzo, bo wszystkie grzecznie chwalił, niczego nie excypując.

Muszę też przy tey okazyey donieść Jejmość Dobr. iżem miał szczęście spotkać J. W. Pana Starostę, któregom dotąd personaliter honoru znać nie miał. Pokłoniłem mu się nisko, a on do mnie zagadał jakoby do równego sobie personata o ród y inne sprawy rozpytując. Pan to okrutnie łaskawy y rad jestem, iżem się tak w porę na niego natknął, jenom się sromał trochę mego chudopacholskiego przyodziewku jałowiczych butów y karabeli mizerney, submitując się zaraz J. Wielmożnemu Staroście iż yako jestem w podróży, przeto się mizernie prezentuyę. A on mi na to:

Znasz Waszmość przysłowie: „Nie szata człeka zdobi".

Dobry Pan y bardzo mi do serca przypadł a znajomość ta może być y dla naszych chłopaków cale fructuosa.

Szlachty tu dość, zełgałbym przeto gdybym rzekł, że mi tu czas leniwo uchodzi, jenom cały w umartwieniu, iżem taką mizerną szablinę z sobą zabrał. Podeślij że mi Jejmość przez onego podstarościego tę z Matką Boską w jaszczurze, bo jest śmigła niedawno toczona y naylepiey mi w dłoń wpada. Może się jaka okazya trafić a człek jak bez ręki.

Kończę niniejsze pismo moje Bogu Naywyższemu Jejmość Dobrodzikę polecayąc y piszę się Jej wiernym uniżonym sługą i kochayącym małżonkiem.

Marek m. p.

Jacusia y Wawrzusia w głowiny całuję.

List Jejmość Pani Barbary Zadrzyny do męża swego Marka.

Mnie wielce miłościwy Panie y mężu moy najmileyszy?

Radam jest bardzo y Przenayświętszey Panience dzięki składam iżeś Jegomość jest zdrów a o mnie niegodney pamiętasz. Spłonęłam cała jegomościne pismo poznawszy, bo srodze się ulękłam, żali się Jegomości jakowyś niedobry casus nie wydarzył, ile że w drodze różnych okazyi dopytać można. Ale że wszystko po myśli poszło, niechże Imie Pańskie będzie pochwalone!

W domu wszystko jak należy, jeno będzie temu dwa dni, „Białonóżka" nieco zachorzał, świeżey zroszoney trawy dopadłszy y dostał jakowegoś paskudnika, czy co, którego mu zaraz podstarości z włódarzem podkadziwszy y zamówiwszy skutecznie wyprowadzili, a teraz już Wawrzuś na nim harcuje, ile że jak to Jegomości wiadomo, Jacuś nie ma serca do figlów ni do rycerskiey zabawy.

Nieraz się srodze troskam o tego chłopczynę y nie wiem co z niego będzie, bo jak się zaszyje gdzie w jaki kąt, to jeno myśli a myśli, a do kalendarza zaziera!

Oj! miałeś Jegomość racyę, suponując, że w nim jakowaś palestrancka dusza siedzi chyba!

Biedna dziecina.

A może go też Pan Bóg na swego sługę powołuje? Niechby tam! Na tę intencyę odprawiam nowennę.

Zawszeć, to wielki splendor dla domu. Niechby tam!

Najwyższy wie co robi i najskuteczniej

wem“ a stan ten potrwa jeszcze bardzo długo. W stosunku do żydów społeczeństwa się nie zmienią. Od nich ratunku żydzi wyglądać nie mogą. Zresztą ogólne zbratanie ludów nie jest nawet „pięknem marzeniem“. Zawiść jest potrzebna dla intensywnego rozwoju indywidualności. Żydzi sami tylko mogą sobie pomódz. Żydzi mimo wszystko pozostali narodem, jednym narodem. Wiara ojców utrzymała ich łączność. Narodowa indywidualność żydów zginąć nie może i nie chce. Nie może — bo nieprzyjaciel zewnętrzny jej na to nie pozwala; nie chce — udowodniła to przez lat 2000. Poszczególne jednostki mogą się zasymilizować, masy ludu nie. Nie należy wcale dążyć do zaniku narodowej indywidualności żydowskiej, bo ona jest zbyt sławną. Faktem jest, że żydzi narodowej swej indywidualności nie zatracili; obecnie tylko od nich samych zależy, czy chcą ją nadal zachować i swobodnie rozwijać. To zaś mogą tylko czynić w obrębie własnej organizacyi państwowej. Istnieje tylko jeden środek rozwiązania kwestyi żydowskiej raz na zawsze, a jest nim: utworzenie państwa żydowskiego.

Autor roztacza plan, w jaki sposób myśl ta dałaby się urzeczywistnić. Zastrzega się wyraźnie przeciwko zarzutowi, jakoby pisał utopię. W celu uniknięcia tego zarzutu pomija z umysłu szczegóły (bo te właśnie znamionują utopijną „fantazyę“.) Omawia jednak, acz szkicowo, wszystkie ważniejsze kwestye, aby uniknąć drugiego ewentualnego zarzutu, że sam nie zdaje sobie sprawy, czy plon możliwy do urzeczywistnienia. Ich bin im Tiefsten davon überzeugt, dass ich Recht habe — powiada stanowczo. Pisze aforystycznie, bo pismo jego ma być agitacyjne.

Państwo żydowskie powstać musi, to jest koniecznością dziejową. Urzeczywistnienie tej myśli nie nastręcza nawet szczególnie wielkich trudności. Żydzi mają wszelkie warunki po temu. Nieprawdą jest, jakoby żydzi byli narodem żyjącym z pracy innych. Jestto jedno z tych kłamstw konwencyonalnych, które wrogowie żydów przez tak długi czas powtarzali, że sami żydzi w nie wierzyli. Gdyby nawet prawdziwem było twierdzenie, że żydzi są tylko przedsiębiorcami, to i tak przedsiębiorstwo jest funkcyą gospodarczą, mającą równie doniosłe znaczenie, jak każda inna. Zresztą żydzi nadają się do wszelakiego rodzaju pracy. „Materyał ludzki“ potrzebny do urzeczywistnienia planu, żydzi mają. Ale co dalej?

Pierwszym warunkiem jest oddanie żydom na ich wyłączną własność jednego z dwóch krajów: Palestyny lub Argentyny. Państwo, do którego którykolwiek z krajów tych należy, godziłoby się na odstąpienie go żydom. W zamian żydzi podjęliby się uregulowania jego finansów, ewentualnie przejęcia na siebie części jego długów. Zważyć też należy, że kraje okoliczne, tej samej władzy zwierzchniczej podległe, zyskałyby ogromnie na wartości z powodu założenia państwa żydowskiego. Założenie tego państwa odbyłoby się za zgodą wszystkich mocarstw, a pod protektoratem jednego z nich, np. Anglii. Celem założenia państwa musianoby do życia powołać dwie instytucye: „Jewish Company“ i „Society of Jews“. „Company“ ma za zadanie: 1) zlikwidować majątki emigrujących żydów, 2) zebrać kapitał potrzebny do założenia państwa. Siedzibą stowarzyszenia jest Londyn. Stowarzyszenie nie jest zarobkowe, ma starać się tylko o dochody dla pokrycia kosztów utrzymania. Do zarządu należy powołać i chrześcian, aby oddać stowarzyszenie pod kontrolę opinii publicznej i utwierdzić wiarę w bezinteresowność jego przy tranzakcyach majątkowych. Likwidacya będzie powolna, aby uniknąć wstrząśnień ekonomicznych. „Company“ będzie dokonywać zamiany dóbr: nabędzie na swoją własność dobra nieruchome emigrujących żydów aby je potem autochtonom sprzedać), a w zamian da im nieruchomości w „Państwie.“ Zajmie się także urządzeniem „Państwa“ pod względem, że się tak wyrazimy, materyalnym. Zajmie się uprawą roli, budową domów, kanałów, kolei etc. Inne zadanie ma „Society“. Sie ist die Staatbildende Macht. Zadanie „Society“ jest „urządzenie“ „Państwa“ pod względem moralnym. „Society“ jest instytucyą składającą się z najwybitniejszych i najbardziej poważanych żydów. Występuje ona jako przedstawicielka całego żydowstwa wobec państw europejskich. Z jakiego tytułu? Czy otrzymała mandat ku temu z rąk ludu żydowskiego w drodze plebiscytu? Nie! Autor plebiscytu nie chce, bo jest on z wielu trudnościami połączony, ale głównie chyba dlatego, że obawia się, by plebiscyt nie unicestwił całego projektu.... „Society“ zaś musi mieć charakter legalny, jeżeli wobec obcych i swoich ma być otoczona należytą powagą. Autor z trudności wybrnął w sposób arcyciekawy. Dla uwierzytelnienia swojej „Society“ stwarza nową... teoryę prawno-publicznej negotiorum gestionis, polegającej na analogicznej instytucyi z rzymskiego prawa prywatnego. Jeżeli naród jaki znajduje się w niebezpieczeństwie, a sam nie chce lub nie może działać, wówczas może grono jednostek bez wyraźnego zlecenia zająć się jego sprawą i występować jako jego legalna reprezentacya. Od chwili, w której naród (negotii dominus) przez popieranie jej celów zatwierdzi czynności reprezentacyi, (negotii gestoris), będą one równie skuteczne, jak gdyby za wyraźnem zleceniem zostały wykonane. Na podstawie tej niezmiernie bystro pomyślanej i oryginalnej koncepcyi prawnej występować może i działać „Society“ jako prawowita reprezentacya wszystkich żydów. „Society“ jest właścicielką kraju, ona nadaje mu charakter samodzielnego państwa. Zadaniem „Society“ jest: 1) zbadanie natury kraju, 2) zaprowadzenie scentralizowanej administracyi, 3) podział gruntów. Ten ostatni odbędzie się w drodze licytacyi. Ceny kupna nie będą stanowić pieniądze, lecz usługi.

W dalszym ciągu omawia autor ustrój polityczny nowego państwa, jego stosunki socyalne, gospodarcze itd. Państwo będzie republiką arystokratyczną na wzór republiki weneckiej. Autor jest wprawdzie zdeklarowanym zwolennikiem monarchizmu, ale wśród żydów nić tradycyi monarchicznej od tak dawna się zerwała, że o nawiązaniu jej w obecnych czasach mowy być nie może; przeciwko republice demokratycznej oświadcza się autor z przyczyny, że ta nie daje gwarancyi spokojnego rozwoju politycznego i socyalnego społeczeństwa. Wobec wybujałości indywidualizmu żydowskiego, demokracya nie byłaby w stanie sprawować rządów w Państwie. Ustrój gospodarczy ma być liberalno-kapitalistyczny, ale postępowy; niektóre ważne urządzenia socyalne mają przyczynić się do wyrównania różnic majątkowych. I tak Państwo zaprowadzi 7-godzinny dzień pracy. Robotnicy otrzymają bezpłatnie pomieszkania i pożywienie na koszt państwa; płacy pobierać nie będą. Autor chciałby wprowadzić także paryską instytucyę l'assistance par le travail celem wspomagania biednych, omawia stosunki niefachowych robotników (uns killed labourers) itp. W ogólności zużytkuje Państwo wszelkie wyniki nowoczesnych prób reformy socyalnej, aby w ten sposób dać przykład innym i stać się „państwem wzorowem“. Język nie będzie hebrajski, ale ten z nowożytnych, który najlepiej odpowie ogólnej potrzebie. Teokracyi w Państwie nie będzie. Państwo zapewni każdemu najwyższą swobodę na punkcie wiary, nie ścierpi jednak wpływu duchowieństwa na sprawy publiczne. Na zewnątrz Państwo będzie zupełnie neutralne: wojsko jest mu potrzebne celem utrzymania porządku na zewnątrz i wewnątrz. Autor nie wątpi, że mocarstwa europejskie zgodzą się na exodus żydów. Jedynie wzgląd na zmniejszenie dochodów skutkiem utraty podatków żydowskiej, ekonomicznie silnej, warstwy ludności przemawiałby przeciw temu. Ale akcya cała przysporzyłaby niejedną korzyść rządom. I tak: 1) podatki płacone przez poszczególne organa „Company“ 2) opłaty od podwójnego przeniesienia własności (z żydów na „Company“, a z tej na autochtonów). 3) wzmocnienie ekonomicznej siły całej ludności przez to, że wszystkie przedsiębiorstwa, fabryki etc. żydów przejdą na własność chrześcian. Exodus żydów nie spowodowałby żadnych przewrotów ekonomicznych, bo cała akcya odbywałaby się powolnie, pod okiem władz. Handel państw ościennych nie byłby narażony na szwank, bo na długi czas zaistniałby eksport towarów do państwa żydowskiego. Największą zaś korzyścią którą odniosłyby ludy Europy z powodu wyjścia żydów, byłoby odroczenie kwestyi socyalnej co najmniej na lat 20 (a więc przez cały czas wędrówki żydów).

Koszta całej akcyi oblicza autor na jeden miliard marek. Pieniędzy dostarczą magnaci żydowscy. Gdyby ci okazali się dla sprawy nieprzychylni, zajmie się nią stan średni, a w razie oporu i tego — proletaryat. Pieniądze zebranoby w takim razie w drodze ogólnej subskrypcyi, w której bez wątpienia wzięliby udział i chrześcianie. Proletaryat pójdzie z pewnością, zwłaszcza pod naciskiem antysemityzmu. Bo, naprzód, nie ma nic do stracenia, a dalej, pociągnie go nadzieja zarobku, zapał religijny i marzenie o „wolnej ojczyźnie“. To marzenie może się teraz ziścić. Ci żydzi, którzy tego pragną, będą mieć swe państwo, a co tam zdziałają dla swego własnego dobra, to wyjdzie na korzyść całej ludzkości.

Temi słowy kończy autor rzecz swoją.

E. W—r.

---

furtuną człeka kieruje. Dobrześ Jegomość oczynił, iżeś dla Jacusia u OO. Dominikanów locum obrał.

Imaginuj sobie Jegomość, że byłam świadkiem srogiej batalicj, jaką chłopcy między sobą stoczyli.

Wawrzuś symulował towarzysza pancernego, Jacuś zasie tatarzyna y dalejże palcatami nacierać na siebie!

Wawrzek choć to młodszy, ale zawżdy animuszu pełen, tak Jacusia płatnął na odlew, że mu głowinę palcatem do krwie rozłupał. Zaraz też pobiegłam do alkierzyka, zmiotłam co było pajęczyny, y takową z chlebem umięsiwszy zalepiłam ranę.

Wawrzek cały dzień zato siedział in fundo o chlebie i wodzie z różańcem, odmawiając takowy y po każdym Oyczenaszu biczując plecy przez kubraczek, potem solennie brata przeprosił, totaliter wszystko bez oporu spełniając.

Wraz z niniejszem pismem przesyłam Jegomości karabelę potrzebną y niewielką taskę bigosu, a musi być dobry skoro Brat Ignacy, będąc u nas po kweście, okrutnie go chwalił y dwie miski skonsummował.

Niechże mu będzie na zdrowie!

Przenajświętszey Panience Częstochowskiey Jegomości Dobrodzieja polecając, piszę się Jego sługą y kochającą a wierną do śmierci małżonką.

Barbara m. p.

Chłopcy Imci Panu Ojcu nogi całują.

Za zgodność z oryginałem ręczy

Mieczysław Frenkiel.

Z estrady i sceny.

(Spirytyści. Komedya w 4 aktach p. Gustawa Mosera.)

Moserowski „Bibliothekar“ przedzierzgnął się na polskich scenach w „Spirytystów“. Nowa firma mniej od starej przylega do sztuki, lecz u nas króluje zasada, że „dobry tytuł robi dobrą kasę“ i w imię tej maksymy nie tyle troszczymy się o właściwość, ile o efektowność szyldu. Spirytyzm — to pukające duchy, wirujące stoliki, jasnowidzenia, — to przedewszystkiem moda. Więc lubo nowa ta zabawka odgrywa w Moserowskiej sztuce bardzo małą rolę, przylepiamy ją na afiszach, jako wabik na tłumy.

„Spirytyści“ należą do starszego repertuaru i w akompanjamencie śmiechu przesuwali się już nieraz przed publicznością poznańską, a na wiedeńskich i berlińskich scenach prezentują się przelotnie nieomal w każdym sezonie widzom pożądającym taniej arlekinady. Utwor ten nie posiada francuskiej elegancyi, tryskającego dowcipu i prawidłowej kompozycyi, lecz rusza się, plącze, skacze, ma sporo maskarady, kilka typów wesołych i dużo jaskrawych efektów. To przeciętnej publiczności wystarcza. Chwilami zakrawa to wszystko na pantominę clownów cyrkowych, chwilami wikła się w takie nieprawdopodobieństwa, że nawet w szerokich ramach farsy swawola ta trzeszczeć zaczyna, chwilami takie quodlibet najrozmaitszych zawikłań wpada na scenę, że autorowi samemu włosy jeżą się na głowie i z widocznem zakłopotaniem suwa tu i tam marjonetki swoje, lecz mimo to ściany teatru trzęsą się od śmiechu. Humor tu niemiecki, — surowy i krzykliwy, — lecz takiego właśnie tłum szeroki pożąda, a teatr, który często z nim liczyć się musi i który z biegiem czasu stał się „ulubionem miejscem rozrywki dla ubogich w duchu“, jak mówi Brandes, chętnie mu, a raczej za chętnie bramy swoje otwiera. Nie myślę krotochwili odmawiać praw obywatelskich na scenie, — przeciwnie, uważam ten najniższy gatunek komedyi za pożądany składnik repertuaru, lecz chciałem tu tylko ogólnikowo zwrócić uwagę na pewną wybujałość upodobań w tym kierunku i na prawdziwy potop niesmacznych, trywialnych i artystycznie zgniłych owoców, któremi rozmaici swojscy i cudzy farso-pisarze zasypali teatr. „Spirytyści“ nie należą do najgorszych krotochwil ostatniego dziesięciolecia, — lecz daleko im, bardzo daleko do pierwowzorów francuskich.

Obsada ról męzkich była niewątpliwie szczęśliwszą od kobiecych. Ryger, jako lord Macdonald, był w każdym calu stylowym ekscentrykiem angielskim i przypominał grą swoje piękne tradycye warszawskich teatrów. Na szczególne też uznanie zasługuje p. Tarasiewicz, który indywidualność swoją tak umiał dostroić do roli Roberta, że przylegała mu ona jak trykot do ciała. Może to miłem nie będzie młodemu artyście, aspirującemu do ról silnie dramatycznych, że właśnie w kierunku charakterystycznego komizmu już po raz drugi talent jego z szczególnym naciskiem podnoszę, ale zdaje mi się, że kiedyś wdzięcznym mi będzie p. Tarasiewicz za wskazanie nowej drogi, która wydaje mi się właściwszą dla artyzmu jego i na której niewątpliwie obfitsze zdobędzie wawrzyny. Przypominam sympatycznemu artyście, że i Rapacki (ojciec) rozpoczął swoją karyerę sceniczną w rolach kochanków lirycznych i długo się błąkał, zanim poznał indywidualność własnego talentu i właściwą drogą odnalazł. Przypominam wreszcie z historyi poznańskiego teatru te fałszywe tory bohaterów, na które za podszeptem fałszywych doradzców wstąpił niegdyś p. Łaski. Talent artysty tego przemówił do nas dopiero wtedy, gdy w ogniu krytyki zdecydował się kapitulować jako bohater i odrodzić się jako przedstawiciel ról charakterystycznych. Niech pan Tarasiewicz dobrze rozważy słowa moje, podyktowane najszczerszą życzliwością.

Z innych artystów występujących w „Spirytystach“ odznaczali się grą żywą i swobodną pp. Knapczyński i Karpowicz, a sporo stylu i rutyny rozwinęli p. p. Jakubowski i Prochaska. Humor p. Berskiego natomiast w roli krawca Gibsona był nieco wymuszony i blady.

Z artystek występujących w Moserowskiej farsie zasługuje na wyróżnienie tylko p. Modrzewska w roli Sary Gildern, podstarzałej guwernantki, dotkniętej manią spirytystyczną. Gra jej miała dużo szczerego komizmu, a podnoszę tu z naciskiem sumienną charakterystykę zewnętrzną, która zeszpeciła wprawdzie oblicze artystki, lecz podniosła plastykę typu. W tym kierunku nasze panie z teatru grzeszą bardzo często. Być piękną! — to jedenaste przykazanie wypisane na drzwiach garderoby. Co rola mówi — to mniejsza.

Pani Jakubowska i panna Ogińska starały się usilnie, by wmówić w widzów, że dwa naiwne podlotki pląsają po scenie, ale zdaje mi się, że nikt z całej publiczności temu nie uwierzył. Pierwsza miała przynajmniej kilka interesujących szczegółów w swej roli, — druga nic, prócz bezdusznej rutyny i... przeraźliwego kwiku w spotkaniu z duchami.

W. R.

Na Wyłomie.

(Miód i ocet.)

Wyczytałem niedawno w „Czasie“ krakowskim czarującą receptę — na muchy. I to nietylko na muchy, lecz i na kiełbiki i na złote rybki i na pawie i na mamutów, a przedewszystkiem na dudki i sroki, jednem słowem cudowny środek. A taki prosty! Proszę tylko posłuchać. Korespondent poznański tej zacnej gazety, której każdy abonent jest już hrabią, albo będzie hrabią, opisuje dokładnie, jakie to zalety serca i ducha posiada nowy redaktor „Dziennika Poznańskiego“. Jedno tylko niepokoi poczciwca, mianowicie, czy p. dr. Władysław Łebiński „potrafi mieć (Boże! co za styl!) konieczną w polemice wyrozumiałość i zachować spokój sądu i miarę“. A gdy tak duma nad straszną zagadką korespondent „Czasu“, jakaś wróżka dowcipna śpiewa mu ciągle nad uchem cudowną receptę z jezuickiej kuchni: „Miodem więcej się much złapie niż octem“.

Mam ochotę zakląć, zakląć na całe gardło. Bo, proszę państwa, że też ja dopiero teraz dowiaduję się o tej cudownej dziennikarskiej recepcie, — teraz, gdy za radą pewnego monarchy mam zamiar „otrząsnąć pył poznański z obuwia“ i w innych murach wiercić wyłomy swoje. Przez trzy łata wierzyłem w ocet, paprykę i piołun, — soliłem, kwasiłem, pieprzyłem, a te szelmy muchy ani rusz! Ba, jak na złość siadały mi na nosie i brzęczały nad uchem, a mojego octu żadna pić nie chciała, chyba jaka chora z blednicą. O Czasie! Czasie! czemuś ty mi miodu nie poradził!

Pamiętacie niezawodnie jeszcze wszyscy moją kwaśną polemikę z Wielkopolankami. Spostrzegłem ku mojemu nieszczęściu, że te „anioły nasze“ nie dość gorliwie do prac narodowych przykładają rękę, więc mój atrament zaprawiłem octem. A one? Bogu najwyższemu dzięki, że dziś jeszcze żyję wraz z moim „Wyłomem“. Pazurki, widelce, talerze, warzechy, — wszystko tam było w robocie.

Gdybym tak dzisiaj miał znowu do was przemawiać o „królowe moje“, to przysięgam, nie tknąłbym ani octu, ani pieprzu, ani żadnej rzeczy, która jego jest, lecz kupiłbym sobie wielki plaster miodu i wzorem jednego z prelegentów poznańskich śpiewałbym wam o włosach miękkich, jak aksamit, o oczach głębokich, jak morze, o Heinem i Mussecie, o Wandzie, co nie chciała Niemca, i Chrzanowskiej, co małżonka swego aż dwoma sztyletami uczyła rozumu, — ach! jakbym ja śpiewał, słodziuteńko jak cukier, jak miód, jak sahyryna nawet. A muchy, muchy, — ilebym ja much nałapał!

I was mężowie, „ładu i porządku“, zaprosiłbym na migdałową zupę z rozynkami. Już widzę, jak się uśmiechacie, jak wyciągacie ku mnie ręce i do serca tulicie. Dziękuję wam, serdecznie dziękuję i z całej duszy przepraszam, że w moim domu tak kwaśno bywało. Dziś jam już inny, dziś mam miód na ustach i migdałową zupę w kałamarzu. Jeżeli przyśni wam się kiedy podeptać prawa obywatelskie i wyklinać z ambony przeciwników swoich, bądźcie spokojni, ja wam zaśpiewam o rycerskiej stopie, co na proch ściera łeb ognisty smoka. Jeżeli znowu mamić będziecie społeczeństwo polskie „wielkanocnem“ jajkiem ugody, liczcie wy na mnie, bo z ust moich dowie się naród, że o całą głowę przerastacie Gladstona, Gambettę i Bismarcka. Jeżeli hypokryzyę, karyerowiczostwo i wydętą nicość laurem ozdobicie, ja wołać będę: „O! błogosławieni, co wielkie męże wieńczą wawrzynami.“ Jeżeli jaki Rozbicki „ładu i porządku“ napisze bardzo głupi dramat, mocno głupi wiersz lub strasznie głupi artykuł — niechaj mu strach przed „Wyłomem“ nie płoszy snu spokojnego, bo nowy Sulla powie: „Arcymistrzu! po wszystkie wieki brzmieć będzie dźwięk twojej lutni i sława imienia twego.“ Miód i miód bez końca! Niech żyje miód, niech żyją muchy!

I oto pozwólcie, że po raz pierwszy przemówię dzisiaj, jak miód tak słodko, jak puch łabędzi tak miękko, do ciebie, praso „ładu i porządku“!

Stojąc wiernie na straży ideałów narodowych, raczyłaś zwrócić oko swoje na wielką mogiłę Marcinkowskiego i upominasz społeczeństwo, by z łona swego wydało księgę, która uwieczni to życie pełne poświęceń i doniosłych czynów. Jedni wołają o nową księgę, drudzy reklamują starą, — opromienioną literackim geniuszem znanego męża ładu i porządku. Tak! niewątpliwie, dzieło dr. Zielewicza to owoc „niezwykłego talentu“ i prawdziwie „Benedyktyńskiej pilności“, ale ośmielam się pokornie zwrócić uwagę, że społeczeństwo pragnie takiej księgi, z którejby wyrastał duch Marcinkowskiego, wielki i potężny na szerokiem tle społeczno-politycznych stosunków. To, co p. dr. Zielewicz zebrał i zestawił, jest wzniosłe i piękne, — bo cóżby zresztą wzniosłem i pięknem nie było w ładzie porządku, — lecz to tylko skromny życiorys, nie historya epoki Marcinkowskiego. W biograficznych notatkach, dokumentach, listach i szczegółach mąż wielki nie znalazł reliefu, ukażmy go na tle dziejowem, ukażmy go w historyi instytucyi jego, a wyrośnie jak olbrzym, strzeli jak słup ognisty i stanie przed narodem w majestacie takim, jaki zasługom jego się należy.

Dostojni koledzy z ładu i porządku, obarczeni denerwującą pracą dziennikarską, nie raczyli przypomnieć sobie, że istnieje

pismo w Poznaniu, które z inicyatywy p. Niesiołowskiego już przed dwoma laty myśl takiej księgi rzuciło, a nawet zgromadziło fundusz tysiąca marek i rozpisało konkurs na wielkie dzieło o Karolu Marcinkowskim. Pismem tem jest „Przegląd Poznański.“ Nie skarżę się na nikogo i nie posądzam was, panowie z Dziennika i Kuryera, o uboczne zamiary, o zawiść konkurencyjną, o analizę myśli humanitarnej przez szkła stronniczych uprzedzeń. Daliście tyle razy dowody szlachetnej tolerancyi (o! miodzie, miodzie, przybądź mi na pomoc), stwierdziliście tylokrotnie czynem, że nigdy myśl postronna, nigdy jad zawiści koteryjnej nie sfarbował waszych dążeń humanitarnych i narodowych, że musiałbym być chyba dawnym Sullą, (o miodzie, miodzie!) aby przypuścić, że milczenie o konkursie rozpisanym przez pismo nasze jest produktem tendencyi. Kłamie ten, kto rzuca takie kalumnie, i niechaj nikt z cynicznym uśmiechem mówić się nie waży, że w chwili ogłoszenia konkursu żadne z pism „ładu i porządku“ nie raczyło powtórzyć odezwy naszej. Proste zapomnienie, nic więcej! Młyn dziennikarski tak huczy, tak myśli mele na mąkę, tak pamięć kurczy i mroczy, że w wirze pracy gorączkowej zginąć mógł łatwo nasz konkurs. Intencye wasze są zawsze czyste jak kryształ, jak łza dziewicza, jak modlitwa dziecka, (o miodzie, miodzie!) — więc dziś, gdy zaginiony konkurs prezentuję wam powtórnie, dostojni koledzy, wy go przytulicie, ogrzejecie płomienistem tchnieniem i w świat poniesiecie szeroki. Tem słowem żegnam was, słońca synowie. Szczęśliwy naród, który mężów tej miary posiada, szczęśliwy kraj, któremu takie przyświecają gwiazdy, szczęśliwa ziemia, gdzie aniołowie zstępują z nieba i piszą dzienniki.

Uf! Aż się spociłem, ale rad jestem, bo muchy roją się w miodzie. Jeżeli zaś miód mój ma jeszcze przysmak kwaskowy, i jeżeli was, dawni przyjaciele, słodycz o mdłości przyprawia, to zechciejcie mi wierzyć, że z czasem nabiorę wprawy i miód mój będzie słodszy od cukru, a wasze żołądki bez wstrętu kłamstwu udzielą gościny.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Ilustrowany Kalendarz „Djabła na rok 1897. Nakład W. Poturalskiego.

Znana i u nas tradycya „Kalendarzy Djabelskich“, bogaty dział informacyjny, doborowa treść literacka i obfitość ilustracyi, wyróżniają Kalendarz „Djabła“ z powodzi licznych tego rodzaju wydawnictw, któremi zasypują w tym czasie rynek księgarski. Jest to także jedyny w Galicyi wychodzący kalendarz, który porusza w treści literackiej stosunki u nas, w Księstwie i na kresach panujące i gorąco sympatyzuje z Wielkopolanami.

Zauważyliśmy w kalendarzu Djabła portret ks. Arcybiskupa Stablewskiego, nowellę Wincentego z nad Warty: „Gwoździarz“, w której autor postawił pomnik zaginionemu już u nas typowi gwoździarzy i odmalował nadzieje nasze w r. 1863, oraz późniejsze gwałty rosyjskie, — dalej pięknie wykonany portret ś. p. Emilii Sczanieckiej i śp. Franciszka Dobrowolskiego. — Przepyszną w swoim rodzaju jest ilustracya, przedstawiająca naszą serdeczną spółkę H. K. T. u spodu z napisem: „Trójka hultajska, czyli spółka zarejestrowana z nieograniczoną poręką, bez żadnej odpowiedzialności“. — Na wyszczególnienie zasługuje także „Kronika pośmiertna z roku 1896“, ułożona przez Hermogenesa Klapę i dowcipnie napisane „Obserwacye meteorologiczno-astronomiczne na r. 1897.“

Z licznych obrazków, zdobiących Kalendarz, wymieniamy „Za wolność i ojczyznę“ Streita; winieter. 1897, Kossaka; „W Tatrach“ Eljasza; „Szczęść Boże“ i „Na zwiadach“ Stachiewicza.

* * *

Ze wspomnień szlacheckich. Kraków. Nakładem Spółki wydawniczej 1896 w 8ce str. 47. Jest to wiązanka opowiadań, osnutych na tle tradycyi, na własnych wspomnieniach oraz relacyach osób biorących udział w wypadkach opisanych. Z wyjątkiem pierwszego ustępu, odnoszącego się do dziejów rodziny Konopackich i Wilczopolskich w drugiej połowie XVII w., opowiedzianego podług tradycyi zachowanej w rodzinie Konopackich, a nie mającego ogólniejszego znaczenia, reszta odnosi się do dziejów naszego wieku. „Epizod z partyzanckich bojów 1831 r. majora Puszeta na Litwie“, oraz „Z opowiadań weterana b. wojsk polskich z kampanii 1831 roku, ś. p. Marcelego Zasowskiego“, stanowią drobne, lecz wdzięczne przyczynki do historyi walk o niepodległość, — „Kunegunda Giedrojcowa“ do smutnych dziejów sprzysiężenia Konarskiego, — wreszcie „Ksiądz Ambroży Nahujewski“ do kroniki gospodarki rosyjskiej w krajach zabranych.

J. Wys.

* *

„Spartanka“, ballada Gwidona Pogonowskiego, wyszła z druku jako deklamacya z towarzyszeniem fortepianu. Muzyka, ułożona przez prof. Maryana Signio, nadaje się nietylko jako akompaniament do deklamacyi, ale może być traktowaną jako utwór fortepianowy. Ballada była kilkakrotnie już publicznie z powodzeniem wykonaną, przeto godna jest polecenia dla deklamatorów do wykonania na zbliżających się obchodach narodowych. Cena egzemplarza 1 zł. 20 ct. Do nabycia we wszystkich księgarniach we Lwowie i na prowincyi.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

— Zupełnie niepotrzebnym zbytkiem gorliwości jest dodawanie do imion zdrobniałych wyrazu mały n. p. mały lasek, małe jeziorko.

— Nie mówmy i nie piszmy rodzenki, bióro, bót, obówie, ale rozynki, biuro, but, obuwie. Rozynki nie mają nic wspólnego z rodzeniem, a bióro z piórem; but wzięliśmy wprawdzie z zachodniej osnowy bot, aleśmy od wieków przemienili o na u, jak w furta, kluba, kufer itp. (z niemieck. Pforte, Kloben, Koffer;) obuwie zaś nie ma nic wspólnego z butem, gdyż pochodzi od obuć (ob-uć).

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** W czwartek wznowiono na scenie naszej jednoaktową farsę poznańskiego autora Simona p. t. „Przewodnik dla zakochanych“. Robota to zupełnie dyletancka i z bardzo grubych włókien utkana, ale dla lokalnego kolorytu i niby — dowcipów trącących przedmieściem, znajduje zawsze chętnych klakierów na galeryi. Rzecz odegrano z werwą i życiem. Z artystów zasługują na wyróżnienie pp. Olszewski, Knapczyński i Berski, oraz panna Jutkiewicz, posiadająca dużo finezyi i filuteryi. — Dyrektor teatru poznańskiego p. E. Ryger bawił przez kilka dni w Berlinie dla sprawienia kostyumów i dekoracyi do „Madame sans gene“. — Dziś ukaże się w teatrze naszym po raz pierwszy głośny melodramat Szutkiewicza p. t. Popychadło. — za tydzień Sudermanowska „Walka motyli“. — Repertuar warszawskiego Teatru Rozmaitości zapowiada następujące premiery: krotochwila Bluma i Tosche „Paryż pod koniec stulecia“. komedya Mischa „Pośmiertna sława“. komedya Daudeta „Poświęcenie“ i jednoaktówka Banville'a p. t. „Sokrates i Ksantyppa“. — Roberto Bracco, twórca dramatu „Niewierna“, wystawił w Neapolu z wielkiem powodzeniem nowy dramat „Tryumf“. — Teatr lwowski wystawił z powodzeniem operę komiczną Wiktora Herberta pt. „Czarodziej z nad Nilu“. Autorem libretta jest Smith. — O p. G. Zapolskiej, utalentowanej autorce i artystce czytamy w „Dn. Warszawskim“: „W lecie r. b. p. Zapolska grała z powodzeniem w teatrzyku „Wodewil“, a następnie otrzymała debiut na scenie teatru Letniego, lecz do składu trupy teatru rządowego przyjętą nie została. Co było motywem odmowy, dokładnie nam niewiadomo. zresztą nie o tó idzie. P. Zapolska, uważając się za godną, aby należeć do składu warszawskiej trupy dramatycznej, i zadraśnięta, że tak powiemy, w swej ambicyi artystycznej, postanowiła dobić się zamierzonego celu, przyczem losem jej zainteresowali się liczni przedstawiciele miejscowej inteligencyi, którzy złożyli na imię dyrekcyi adres, a raczej prośbę, opatrzoną 300 podpisami. Adres ten, jak nam donoszą, został już wręczony za pośrednictwem redaktora Kuryera warszawskiego p. prezesowi zarządu teatrów warszawskich“.

— **Holger Drachmann,** najznakomitszy liryk duński od czasów Oehlenschlägera, obchodził niedawno w Hamburgu, gdzie przemieszkuje, 50-letnią rocznicę urodzin, a zarazem 25-letni jubileusz działalności poetyckiej. Pierwsze utwory poety pojawiły się wprawdzie wcześniej, lecz dopiero w 1871 r. wydał on tom poezyi, które go odrazu postawiły w pierwszym rzędzie poetów duńskich. Jako poeta odznacza się Drachmann żywiołową siłą, ogromnem bogactwem nastrojów i potężnym liryzmem. W przeciągu 25-ciu lat wypełnił on swemi utworami 46 tomów, pomiędzy którymi znajduje się 13 zbiorów poezyi lirycznych. Wskutek wielostronnej i zbyt pospiesznej twórczości Drachmanna, nie wszystkie jego rzeczy dają się mierzyć równą skalą artyzmu. Drachmann jest błędnym trubadurem, ceniącym nadewszystko nieokiełznaną swobodę i rozkochanym w bezkresach morskich, które sławił nietylko piórem, lecz także pędzlem; jest bowiem zdolnym malarzem. Wskutek nadwątlonego zdrowia musiał poeta zaprzestać chwilowo wyczerpującej pracy. Właściwości talentu Drachmanna wysunęły go na czoło „młodych“, którzy mistrzowi swemu złożyli hołd w księdze pamiątkowej, zawierającej ich utwory, a ilustrowanej przez 9 utalentowanych malarzy młodszego pokolenia.

— **P. Kaźmierz Rakowski,** współpracownik pisma naszego, napisał obszerną rozprawę w języku niemieckim p. t. „Die agrarische Umwalzung Polens im XVI. Jahrhundert. Praca ta zyskała uznanie berlińskiego ekonomisty, prof. Schmollera i ukaże się niebawem w naukowem czasopiśmie „Schmollers Forschungen“.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

M. w G. Berlin posiada kilku lekarzy specyalistów dla chorób żołądkowych. Największem poważaniem cieszą się dr. Boas i prof. Ewald.

N. 999. Kwestya ta wymaga osobistego porozumienia, a przynajmniej podania obszernego materyału dowodowego. Nie wątpimy, że doniesienie Sz. Pana jest prawdziwe, ale brak w niem ściślejszych wskazówek, nazwiska świadków, uwierzytelnionej kopii wiadomych listów i daty faktu samego.

Kometa. Dużo łez i dużo jęku, słabe rymy, mało wdzięku.

W. w S. i T. w K. Dziękujemy serdecznie za uznanie. Procesu się nie lękamy.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winlewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej Nr. 28 (Telefon Nr. 334.)